1846. Nr 5. ROK 5.

Wydawca i Redaktor, Hippolit Skimborowicz.

PRZEGLĄD NAUKOWY.

ŚWIAT I POETA.

Część II^ga^

SZALENIEC.

.....Moja spokojność, nie jest jednakże udaną, ani naciąganą, a ja nabyłem ją wielu cierpieniami i godnym jéj jestem. Jam się wyzuwał po porządku ze wszystkich mych złudzeń i nadziei, jeden po drugiéj traciłem skarby mojéj wiary, mojéj poezyi — bardzo wiele oddałem w zamian za tę ciszę teraźniejszą ducha. Gdyby taż cisza była przynajmniéj wieczną— gdybym był pewnym, że ją będę posiadał jutro, jak posiadam dzisiaj! ale nie ma pewności tego!

Nawet do ciebie, mój drogi przyjacielu, nie piszę więcéj, boję się, żebym nie stracił twego serca, wraz z świeżemi memi szaleństwy—tyś mi tyle dobrych rad podawał, tyś mi zawsze wskazywał drogę, gdzie roz- sądek bił swe słupy kamienne, co wskazują drogę prowadzącą do szczę-

ścia, o jakie tutaj kusić się można; — tyś był dla mnie zawsze strasznym prorokiem, i ilekroć brałem w swe niedoświadczone dłonie, którąkolwiek z tych broni palnych, co mię tak pokaleczyły, tyś zawsze przestrzegał, powstrzymywał..... ale nadaremno! nademną już piérwéj było co innego napisano. Namiętny, pragnący szczęścia zawsze, wszędzie szczęścia, szczęścia zupełnego, wzruszeń prorokujących niebo — szaleniec! niepojmowałem, że to wszystko w połowie mieć tylko można na ziemi, a ubiegać się nie warto, nawet i za tą połową. Chciwość moja była ukaraną sprawiedliwie; mogłem być szczęśliwym po-ziemsku, a zostałem nieszczęśliwym piekielnie! Dzisiaj, boję się nawet użyć ostatniego sposobu, który mi dawniéj osładzał cierpienia — boję się mówić z tobą, czytać twoje pisma, bo możeby znowu przyszło wykryć moje słabości umysłowe, moje trwogi i nadzieje, których dzisiaj się wstydzę, jak wszystkich mych dziecinnych uczuć, jak wszystkiego, co będę może jutro pragnął odwołać. O! wieleżbym ja prawd, dla siebie niegdyś świętych, do dzisiaj już przeklął, wyszydził. Dusza moja cała, istny smętarz, gdziem sam pogrzebał tyle uczuć, tyle złudzeń, które ludzie i ja sam pozabijałem bez litości. Dusza moja dzisiaj w obec mnie samego, jak okropne widmo bez życia, stoi, i blademi widziadły przeszłości, miga méj pamięci.

Jednakże ja szczęśliwym być muszę, zmienię swą naturę, pojmę do gruntu świat, ludzi, będę ich naśladownikiem, oddam serce jakiejkolwiek namiętności, coby zdołała dawne pamiątki wytrącić z mego mózgu. — Mój Boże, tyle ich jest, tyle na świecie, i nie znalazłaby się jedna dla mnie — tyle ich jest dających śmierć i zniszczenie, nie byłożby i jednéj, z któréj zaczerpnąć można życia! Prawdaż-to, że drzewo wiedzy, nie jest drzewem życia? Jeżeli jednak tę wiedzę można rozpalić ogniem namiętności, — gdyby można było.....

Cóż za pustynia we mnie! — książki i książki — kłamstwo i kłamstwo! jam się im oddał myśląc, że one rozpalą mą duszę ogniem dawnego życia, a one..... one mię jednak zdawały się uszczęśliwiać — myśl moja przy nich bujniała, krzewiła się — już mi się zdawało nawet że ją

kwiat pokryje, a owocem będzie powrót w dawne czasy, kiedym był szczęśliwy i wierzył w to; — i czyż w istocie uszczęśliwiły? to zatopienie się w nich, jest-że to czucie? nie jest-że to raczej strata czucia — szczęscie odrętwienia? — Cóż mi one dały! w bibule szukałem prawdy, ja, który nie umiałem jéj znaleść w żywéj księdze natury umysłem świeżym, kierowanym przez palec Wszechmocnego. Dumny rozumie! i tyś jeden z oszustów czyhających na ludzi o sercu namiętnem — i ty jak tyle innych namiętności obiecujesz im Eldorado, a prowadzisz w Saharę, i dla ciebie potrzeba ofiar, cierpień, trudów, i tyś tylko błyskotką dla dzieci, ponętą na nędzne rybki. Połknąć rozum, choćby wszystkich wieków razem, znaczyż-to zostać szczęśliwym? widziałem tych mędrców, te żywe ofiary swéj męczarni książkowéj — rozwijały się ich pojęcia — stawali się zdolnemi tworzyć całe sofistyczne systemata — a czucie prawdy, a jéj instynkt wszczepiony w serce przez Boga znikał — były-to w końcu mumje rozumu, szkielety prawdy; obnażonemi kościskami swéj nauki, chodzili straszyć świat młody i czujący, wykrzywionym uśmiechem trupiéj mądrości, przestraszali istoty marzące i pełne wiary; — pokażcie mi choć jednego z nich, któryby nie wołał w głębi duszy: wróć mi, mój złoty wieku, niewiadomości, moja dziecinna prostoto! Żaden z nich nie odważy się tego powiedzieć, bo powiedzieć — to wyznać całą swą nicość. Każden z nich w końcu gorzko się uśmiécha na widok zakochanego młodego szaleńca, marzącéj dziewczyny, wierzącego entuzyasty: — śmiech to upiora wypijający życie z żyjących jeszcze istot, nie w sercu on się krzewi i nie ożywi drugiego serca.

I to takie ma być szczęście méj mądrości? Piérwszy to szczebel rozpaczy. — Jeszcze dusza moja dąży do nieba, jeszcze czuje potrzebę myślenia, uczucia, ale już niezdolna ożywić, uczuć, i piękną całość świata stworzonego rozjaśnić, wydała wojnę swéj naturze i postanowiła cuda dzieł twórcy przymusić, aby odkryły swe dziewicze osłonki, aby pokazać szczęśliwym wierzącym, że pod tą dziewiczą postacią kryje się biedny materyalizm żywienia i odżywiania, śmierć i odrodzenie. Biedne myśli moje; wy, coście natchnieniem pojmowały Boga i naturę; wy, coście bujały w błękicie niebios wiary; wy, coście położyły jako kopce graniczne obszarów przez siebie podbitych ducha, wiarę — dzisiaj wam

łada tworek nędzny jest zagadką, dzisiaj poplątane dowodzeniami, odłocone niewiarą, nie możecie poznać same siebie, i wstyd wam w obec Stwórcy.

Po-cóż ja żyję? nie jestem-że ja przeznaczony być przynajmniéj listkiem wieńca ludzkości? — jestem-że ja istotą osobną, przeznaczoną tworzyć świat osobny żyjący w wiecznéj wojnie z mnie podobnemi światami? Tak, tu nowa ścieszka mojego życia — poszedłem nią od chwili kilku. Książki poszły w ogień — to sztuczny napój, on uśpi, ale tylko na chwilę; — ludzie, ludzie! tam mój cel, rzuciłem się między nich!

I jakież jest słońce środkowe, około którego obracają się drobne sfery ludzkości, wiążące je w wielki system planetarny?....

O czemuż ciebie nie ma mój przyjacielu! — to com widział wczoraj, broniłoby mię przeciw zarzutom, które możesz dawać mojemu myśleniu i czynom. Wiesz, że już mieszkam w mieście; zostawiłem wieś jéj łąkom i strumieniom, jéj mieszkańców ich uprzedzeniom obłąkanym, ich wielkości zmyślonéj—wreszcie moję ex-kochankę, jéj losowi małżeńskiemu — jestem pewien, że w téj chwili drzémią, kiedy ja myślę i czuwam cierpieniem. Mieszkam w mieście, pracuję. Wczoraj może nawet byłem wesoły, kiedy spotkałem wóz, na którym nie wiem co leżało, bo był przykryty; było już późno, księżyc świecił — wkrótcem poznał rzecz całą — to był biedny samobójca i oto jego pogrzeb. Za wozem tuż szła żona z dwojgiem dzieci, za niemi zdala kilkoro ludzi, jedni z nich przeklinali, inni plwali — opodal tłusty urzędnik, zapewne z obowiązku musiał być przytomny smutnemu obrzędowi. Był to obraz okropnéj nielitości ludzkiéj i nienawiści rozciągniętéj aż do granicy grobu. Szedłem smutny mimowolnie za tym szczupłym konwojem. W saméj bramie miasta byliśmy nagle zatrzymani, wnet jednak koń wiozący powolnie swój smutny ciężar ruszył daléj—któż nas zatrzymał? — o! to była kareta, jakaś dama z uśmiechem na ustach, ubrana w kwiaty, śpieszyła do miasta, na bal zapewnie — co za straszliwa sprzeczność! A dzieje biednego samo-

bójcy? Ubogi rzemieślnik, miał żonę, dzieci; chorobą przygnieciony, musiał pożyczyć i opłacać wielkie procenta przez rok cały, nie mając najmniejszego zarobku. Przyszedł do zdrowia, ale całą jego pracę przez lat trzy, pożerał lichwiarz swoim procentem. W końcu, upadły siły duszy biednego — wytłumaczył sobie całą mocą dowodów rozpaczy, że z jego śmiercią, rodzinie jego gorzéj nie będzie — bo co żona zarobi, przynajmniéj lichwiarz nie zabierze, bo przecież choć raz od lat czterech, zaśnie spokojnie. Biedny! o, on nie był samobójcą, on był zamordowany przez nielitość lichwiarza i obojętność społeczeństwa. Co za okropna sprzeczność! Żona jego, w ostatkach padającéj się czarnéj niegdyś sukni, dzisiaj szaréj, nie ma nawet białéj tasiemki do obszycia jéj na znak żałoby — on sam, pokryty kawałem szarego płótna — a ten urzędnik, taki czerwony, taki otyły! — a ta dama, wesoła w szatach balowych, i jeszcze mu kazała w bramie wstrzymać się — przeszkodziła w téj nawet podróży, któréj on tak pragnął, którą sobie przyspieszył. Cóż to za okropna sprzeczność! — i gdzie, i kto mi rozwiąże węzeł téj zagadki? — Czy to jest więc środkowe słońce, około którego krążą drobne sfery ludzkości, stanowiące jéj system planetarny?!

Codzień i codzień odkrywam coraz nowe dowody, na podparcie mojéj nienawiści świata — nie łudzę się sofizmatami, nie będę na obronę jego wołał fałszywych dowodów rozumowania — dowody mam w sercu zbolałem, opustoszałém. Dawniéj obrazy niesprawiedliwości, ilekroć do niego wpadały, budziły tylko oddziaływanie w méj duszy — dzisiaj zaś wolno im swobodnie gnieździć się i rozwijać swe jaszczurcze członki. O! piękny jest świat, pojmuję go, i wygodny, ale dla samoluba tylko. Gdybym się urodził w kolebce wyzłacanéj, wyrosł w puchu bogatéj miękkości, i żył pracą rąk cudzych, możebym także tworzył hymny na cześć świata. Gdyby prawda tysiącem swych cierniów nieuwieńczyła méj głowy, możebym także dzisiaj tę głowę nosił lekko, dumnie, jak ją nosi tylu ślepych, odurzonych w wirze świata ludzi. Jednak zazdrościć im muszę — z całą mądrą pychą jestem i będę tylko zarozumiałym głupcem, upartym i nieużytym, gdy tymczasem oni przebiegają swe życie

łatwo i wygodnie. Noszą w sercu robactwo uczuć; rozrodzone w całe pokolenia, że wkrótce strawione, samo w robactwo się zamieni. Myślałem zrazu, że to czyn cnoty, ale ja rodziców więcéj bluźnię, czyż więc to cnota? Na podwalinach czucia, miałem budować gmach szczęścia dla ludzkości, i cóżem wybudował? — nienawiść! — Takie mieć wielkie zamiary, to mi się wydawało prawdziwą wielkością moją, a to było w istocie tylko szaleństwem. Bo dzieje ducha ludzkości, nie mnie pisać, ani mnie poprawiać — com zastał, to i zostawiam — świat ani lepszy, ani gorszy; ale czém byłem, tém nie jestem, bom był młody i silny duszą, a dzisiaj starzec przed czasem, dzisiaj nienawistny i sobie i ludziom. — Cały mój zysk, iż mogę powiedzieć: znam świat ze wszystkich stron jego; i cóż mi stąd, jeśli z tą wiedzą szczęśliwym być nie mogę, jeśli utuczony myślami, schnę od braku czynów, celów. Cel mój jakiż? żyć byle przeżyć. Gdybym ja sam mógł nim kierować, możebym go sobie wybrał i oznaczył, ale iść tam, gdzie pędziła dusza własna, a zajść w krainę, w którą skierowała jakaś inna ręka — i pocóż pracować marnie nad wyborem celu? Nie ma więc żadnego celu życia — świat nasz jest światem przejścia — światem, na którym istoty myślące, zostawione zostały za granicą porządku ogólnego: — kiedyś one się uszykują w harmonijną całość, ale dzisiaj niech darmo nie pracują nad tém — dzisiaj, tutaj niech chodzą bez celu i zamiaru, niechaj chwytają po drodze istnienia pokarm na dzisiaj tylko, bo o jutrze daremnie im myśleć, jutro nie ich — oni nie mają celu!

Cel na dzisiaj — pojmuję to — nie głupszy jestem od tych milionów ludzi co go pojęli — być szczęśliwym jak można i o ile można! zapytać całego swego organizmu: czego żąda — i odpowiedzieć mu: dam ci — postaram się — i rzucić się na piérwszy łup, co dogodzi jego potrzebom. Człowiek jest istotą złożoną, jest w nim tygrys, jest i słowik: tygrysiéj równie jak słowiczéj żądzy dogodzić, otóż-to żyć jak trzeba — oto być szczęśliwym jak można. Rzućmy się w świat żyjący potrzeb swego organizmu, zwiążmy wszystkie jego żądze w jeden cel, zyskamy szczęście — w dzieciństwie będziem się przewalali swobodnie po zielonéj łące, a kiedy nadejdzie chwila ostatnia, na tejże łące będziemy połykali ostatki powietrza dla przedłużenia życia — będzie to jednak szczę-

ście! — Precz sztuczne cele, dla których każą dziecku być przedwcześnie mężem, a konającemu starcowi ogrzewają zlodowaciałe ciało trzewami zwierząt zamordowanych, głupcy! nie pojmują celu swéj istoty, która jeśli sama nie żąda i nie wspiera siebie, nie wesprze jéj nikt pewnie!

Teraz jam znowu szczęśliwy! ten świat wieleż ma ponęt dla tego, kto go zrozumie i nie wzgardzi jego słodyczami! Ten świat materyalny ze swémi materyalnemi roskoszami, to podobno jedyny zakres, gdzie wolno człowiekowi spełnić czaszę żywota od wierzchu do dna — tu wszystko twoje, czegoś dotknął, i nie będziesz cierpiał, bo zdołasz dotknąć wszystkiego. O wy ideały! próżne bańki mydlane, wydęte tchnieniem dziecka, i jak jego żądze nietrwałe! — istne tęcze niebieskie, przejrzystym łukiem okrążacie świat niebaczny, wabicie go i znikacie! Któż wam uwierzy przy zdrowych zmysłach, kto! — O ja uwierzyłem, niegdyś w waszem zaczarowanem kole jam niebaczny błąkał się tyle — niewolno mi było iść naprzód ani się cofnąć, tęczowy jéj zakres mię uwięził, wolno mi tylko było wznieść się w górę — o szyderstwo piekielne! mnie więźniowi tego szczupłego więzienia, istocie bez skrzydeł, powiedziano: wznieś się do nieba, tam obaczysz cuda, bo tu na ziemi proch tylko. Wzleciałem ślepy wiarą, wzbiłem się w niebo jak skowronek prosto, śpiewając hymn memu tyranowi, kołysząc w sercu wdzięczność za to, że mię wygnał w ojczyznę nie moją. Bo czyż to moja była ojczyzna tam gdzie ja latałem?— ta światłość co mi oślepiła oczy, ta harmonija niebieska, ta przestrzeń bez początku i końca, i tóż ojczyzna stworzenia, jak ja co z płaczem wszedłem na ten świat, bo nawet świat ten nędzny przerażał swym ogromem; co się żywi trupami zwierząt, którego istota jest wielkim smętarzem biednych tworów, wytępianych dla swego brzucha — i toż ojczyzna dla tego płaczu, który najdaléj zapełznąć zdoła do trumny — i toż ojczyzna, ta wielka bez końca, ta piękna jak niebo kraina ideałów! Jednak ja w niéj byłem; jak Prometeusz ukradłem ognia niebieskiego, aby odrodzić i siebie i ludzi — aby świat materyi zamienić w świat ducha — i jak Prometeusz dzisiaj przykuty do twardéj skały prawdy; sęp rozpaczy usiadł na mych piersiach i toczy

biedne czujące serce. Nademną krąży tysiące czarnego ptastwa, podemną i wkoło mnie pełzają brudne gady, szukając przytułku w mych zbutwiatych kościach i pastwy dla zgłodniałego żołądka — oto te same istoty, które niebaczny chciałem przerobić na bóstwa; sprawiedliwa moja kara! Bóg mię jeszcze skarał jak wielkiego, jak potężnego s vego wroga zgryzotą, kajdanami i wygnaniem, a powinien był ochłostać tylko jak głupca pogardą i zapomnieniem.

Ideały moje! moja piękności, moja cnoto i sławo urojona, moja dziewico wypieszczona, myślami czerpanemi w najwyższéj strefie niebios, mój laurze zerwany na nieśmietelnem drzewie, co tam ocienia czoła aniołów — jakżeście wy piękne, boskie były ideały moje, — wy moje męczarnie! wy niedorzeczności moje — wy moje głupstwa i ślepoto moja! wy moje nikczemne tortury; wy podłe gady, ogrzane przy mych piersch, aby skaleczyć tego kto was odżywił! Głupie ideały, wydmy piasku na Saharze, ognie błędne mogił ze zgniliżły wzrosłe, niknące w zgniłem powietrzu, oby was tak przeklął każdy jak ja was przeklinam! — ja co dzisiaj pojąłem życie!

Witajcie mi piękne nimfy tego świata! hymn dla ciebie ziemio z twojemi bez serca łotrami, z twojemi bez iskry serca o milionie żądeł, ponęt i żądz tylu kobietami — z twojém błotem, w którém tak się miło przewalać, — hymn dla ciebie!

Jestem spokojny, wesoły — świat mię już pokochał — umiem kryć przed jego okiem, że jestem ultra-naśladowcą jego — bo on i tego by nie darował. Jestem jak tysiące: co za miłe życie! Kocham się bez końca, alem nie szalony kobiety wynosić do ideału; kocham w kobiecie kobietę, wiem do czego ona służy i śmieję się z swych dawnych urojeń, bom pojął, że ona właśnie nie należy do nieba duchowego, ona jest najwyższością zmysłową. Kobiéty! jakież to błogie wrażenie dla zmysłów! usnąć w ich objęciu, i spać bez marzenia, i obudzić się bez wspomnień wczorajszych, i codzień a codzień, upajać wyobraźnię niebem ognistego napoju, ich spojrzeń, ich pocałunków, ich uścisków, ich całych istot — i po obudzeniu się widzieć swą wyobraźnię wyczerpaną, bezsilną, nie jest-że to życie prawdziwie spokojne, wesołe?

Wczoraj poznałem takąż samą kobietę jak niegdyś był mój bałwan, któremu składałem czołobitność;—dziwna rzecz! moi towarzysze mówią że to szkarada, że to nie warte kłopotu, muszę ją jednak poznać. Powiadają że ona nie jest niedostępną, szczególniej jeśli zabrzęczą pieniądze; warunek to wprawdzie ważny i ciężki, ale cóż robić, dla kochanki, dla mojej idealnej kochanki, czegoż żal poświęcić? Dziś już sobie wyobrażam jej uściski nieocenione, będę jej powtarzał ciągle to, co niegdyś tamta tak do niej podobna, wymówiła nieczując, z tęschnotą której niepojmuje: czy tu byś chciała spocząć i po śmierci?—o nie! nie, moja droga, lepsze słowa które ci pierwej wymówiłem: tu bym pragnął żyć bez końca i poić się tym widokiem; nieprawdaż moja Messalino że umierać tak niewarto? lepiej jest żyć, żyć bez końca. Tamta tak do ciebie podobna kobieta nie umiała pojąć życia — ale nie lękaj się; pojmie—poszła już za mąż; a jej mąż istota tak ograniczona zawsze, jak ja teraz, oto teraz w tej chwili kiedy ci to opowiadam—a on ją nauczy patrzeć na życie z tej ponętnej strony, bo innej podobno i sam nie zna. Piękny jest cel życia, moja droga, nieprawdaż? żyć dla tego tylko na świecie aby się rozrodzić w pięknych dziatkach, które by były podobne.... do ciebie naprzykład, albo do niej. Głupstwo śpiewy słowicze; ty myślisz że to poezja?—o nie, to tylko samiec uprzyjemnia swej samicy nudny pobyt na gniazdeczku — to na jedno wyjdzie jak gdybym ja śpiewał do ciebie teraz: luba moja, mój aniele, kocham ciebie! — O wy kobiety!— wy nie pojmujecie czem jesteście, sama natura nawet z was szydzi;— Piękne kwiaty, barwiste listki waszych dziewiczych koron opadają szybko, zostawując tylko bez barwy i ponęt środek — i któż wówczas wspomni o dziewiczej lilii patrząc na ten kościsty, nasienny szkielet, który tak się spieszyła zostawić!

Dziwna kobieta; zachciało się jej pokochać mię, jak mówi, prawdziwie; moje szyderstwa, to w jej oczach poezya—biedna! — wszystko czego pojąć nie zdoła uważa za cudowne i mnie zaliczyła do tych istot wyższych, które kochać trzeba;—o! serce kobiece kochało by

bez końca to czego niepojmuje i dopóki niepojmuje. Kochać mię dzisiaj! — dzisiaj, kiedy ja nic kochać nie mogę! to okropne szyderstwo z mego serca, co biedne, zmęczone pragnęłoby zasnąć letargiem. Co za śmieszna kobieta! kiedy ja wołam z ironją wspominając tamtę: kocham ciebie boś ty taka piękna! ona sądzi że to prawda i powtarza: a ja ciebie tysiąckroć tyleż kocham; ubóstwiam. Nudzi mię to — ja chcę w niej widzieć kobietę, a ona pragnie mi z siebie zrobić anioła, jam zrealizował w niej ziemię, a ona mię zamyśla pchnąć powtórnie w świat ideałów. Biedna! nie pojmuje żem ja wygnany już z tego kraju do którego się jej zachciewa. Czego ci się chce moja piękna; złotego jabłka marzeń? sama nie wiesz czego żądasz; dla tego właśnie że złote, więc się niém nie nakarmisz; lepsze jabłka ziemskie, które pierwsza matka twoja Ewa dała małżonkowi do zjedzenia. Niech ci się nie marzy moje dziecie, o świecie drugim do którego cię nie zawiodę, bo sam drogę straciłem.

Nudzi mię ona powtarzam; rzucę ją, swojemi westchnieniami przypomina mi tylko moje dziecinne, a mimo to srogie cierpienia. Wszak już ją znam do gruntu — spełniłem ten kielich wina z ambrozią. Idźmy dalej w świat plotek, intryg i zakrętów labiryntu świata, idźmy śmiało śmiejąc się po szatańsku z głupców, co sądzą, iż im będę wierzył, kiedy mi dłoń ściskać zechcą.

Witajcie moje damy i panowie, pstry świecie oskrzydlony, motyle i komary, złociste brzęczące muszki i ty stara złośliwa oso; witam was panowie Niedźwiedzie, pokłon i cześć tobie tygrysie i wam koty jak dowcipne w polowaniu na myszy; — jak się macie dobre głupie owce i wy dostojnie urodzone woły; — i wam składam moje uwielbienie uczone osły! — Wśród was nie będę się wstydził, nie będę zakrywał rumieniącego się od nicości czoła w obec myśli moich, w obec stwórcy z którym mówię i płaczę gdym samotny; przy was sam wolny od mych dziecinnych zgryzot, sam mądry, poczciwy, doskonały, tak jak ty moja kotko jezuitko, usypiam kołysany czystem sumieniem, jak ty spokojnie po zduszeniu głupiego ptaszka co wpadł w twe pobożne łapki. Z wami, z wami chcę być zawsze—bo bez was jam biedny twór Boży, lękliwy swą nicością, przestraszony nędzą swego ducha,

schorzały od bolów i grzechu, bez was ja nie mam dosyć bezczelności, aby wznieść czoło moje ku niebu, jak niegdyś, kiedym cierpiał nie bluźniąc. Wstrząśnień i tylko wstrząśnień bez końca potrzeba dla mej duszy, nie ma ich, więc chcę snu zapomnienia, choć chwilowej śmierci; Kobiety niewystarczają do zapełnienia czczości mego serca — ja szacuję je—gotów jestem kochać w samej nawet ich nicości; boję się zaczepiać tę strunę, która już tyle razy obudziła w mych piersiach echo tkliwej i smętnej harmonii— precz z niemi; — boję się ich; jakiś fatalny noszę w sobie zarodek, który mi każe lgnąć do ideałów, a w ich postaciach są jakieś zarysy ideałów, jakkolwiek niedokładne i fałszywe a jednak uwodzące i potężne — mnie potrzeba snu zapomnienia a one rozbudzają, a one jak wróżka z Endory bez końca wywołują moim oczom massy czasów cnoty i szczęścia znikłych i zgryzotą zatruwających — o te dzikie widma Samuela niech przepadną razem z tym, kto je wywołał. Snu mi potrzeba letargicznego, w którymbym nic nie marzył, lub raczej marzył o trumnie własnej jak o owych mniemanych Aniołach ziemi.

Zazdroszczę pijakom Wschodu ich opium z jego krwawemi marzeniami; gdyby mieć teraz; spełniłbym pełną czaszę tego nektaru zapomnienia teraźniejszości. My Europejczycy tacy biedni jesteśmy w wynalazki dla duszy — cielesni; pomysły nasze nie przechodzą granic ciała ani zmysłów, tego ciała uduchownionego, nie umiemy nawet upić się dla duszy, nie wiemy jak użyć Opium aby upiwszy się przejść wszystkie stopnie istot oskrzydlonych, o których marzą szaleni entuzyaści— powiadają że to stan nadzwyczajny, rozkoszny; że jest coś poetycznego w tej gorączce po opium — Widziadła skrzydlate zawieszone w niebiosach zaczynają migać przed twojemi oczami, chwytasz je, gonisz — uciekają, porywasz, masz wreszcie w ręku twój ideał goniony—ściskasz go w twojej ekstazie piekielnej, dopóki ideał cały niezakrwawi się — co za rozkosz; ideał kona w twoim ręku a ostatni jego oddech uderza jak piorun w twój wzrok rozpalony, paraliżuje twe czucie, pojęcie, i w uścisku umierającego ideału twego sam konasz, usypiasz.

Jakżem słaby, wyniszczony; nadużyłem mojego boskiego nektaru; ręce moje drżą jakiemś drżeniem zniszczenia fizycznego, myśl moja nie ma władzy pohamowania tych drobnych a tak męczących konwulsyjnych ruchów—piekielne opium; i ono jak wszystko na świecie upaja na chwilę; lepsze zdaje się i skuteczniejsze z początku, bo działa drogą cielesną. Biedny człowiecze! jakże twoja dusza zależy wiele od ciała— a niewolnica ciała w jego kajdanach ostrych, ciężkich i upadlających, marzy jednak o swej wielkości, nieśmiertelności, o swem wyswobodzeniu. Biedny człowiecze; ta zależnosć twej duszy na lada wpływ ciała, jakże mocno podkopuje podwaliny twej nieśmiertelności; dosyć cię widzieć w gorączce, w obłąkaniu, w ekstazie po Opium żeby zapytać z ironią: człowiecze, twoja dusza niesmiertelna, jestże to ów pierwiastek myślenia, zdolny co chwila chorować, obłąkać się i zmienić do niepoznania? Myśl okropna; odrzućmy ją, ten zimny starzec z swą mądrością lekarską sprawiedliwie mi powiedział, iż nie warto ścigać nieprzyjaciela konnego piechotą — nie dogonię tej prawdy ostatecznej, która mię tak męczy swą nieprzenikliwością. Dobry starzec odgadł mą chorobę.—Wać Pan nadto się przepiłeś, powiedział.—Ale nie po waszemu, odrzekłem.—Po naszemu czy inaczej, skutki jedne, dosć że dostałeś drżenia nerwowego, gdybyś był krwistym, dostałbyś od takiej massy trunku apoplexyi śmiertelnej.—Od takiej massy trunku; krzyknąłem, nie zgadłeś łaskawy Panie..... kilkadziesiąt kropel, to zdaje się nie wiele — To ci może zagadką..... cóż to, czyż tylko winem upić się można;—niech rozpustnik cielesny je pije — ja może także niszczę własne życie, ale nie dla dogodzenia ciału, dla duszy to, dla tego upiora co prześladuje mnie i wasze systemata materyalizmu, muszę szukać tych dziwnych, tych nadzwyczajnych sposobów — które dzięki waszej medycynie i u nas znaleźć się mogą. — Jakto; miałżebyś używać Opium? zawołał zdumiony. — Co za wyborny sposób, rzekłem, nie prawdaż starcze, wznieść się w świat nowy, gdzieśmy dotąd nie podróżowali; błąkać się po tym świecie i zapomnieć o tamtym, o naszej ziemi — o tej przeklętej ziemi, która swoją dwoistością męczy nas do śmierci, wiecznie *tak* i *nie*, bez końca rozkosz i męczarnia—o! czyż nie warto rzucić świat taki, by wzniesć się do dru-

giego, gdzie przecie nie znajdę tego przeklętego dualizmu. Wznieść się choćby za pomocą kilkudziesięciu kropel opium.—Wznieść się, aby potem dostać drżenia nerwowego? — odpowiedział zimno lekarz— a później konwulsyi, a w końcu paraliżu, i w tym opłakanym stanie być może lat kilka a może kilkanaście lub więcej. Nie prawdaż że dla tego wyrazu wznieść się, to dosyć znaczna opłata; O mój nad wiek rozumny i bezrozumny młodzieńcze, gdyby w tém opium leżała tylko siła zapomnienia i śmierć okropnego dualizmu, nie czekałbym pewno aż dotąd, póki mi WPan nie pokażesz sposobu i nie dowiedziesz jego skuteczności—bo mój Panie, każden ma to, co możeby żądał zapomnieć, a przecież nie zdoła. Pij teraz kwasy, dodał zimno i strzeż się powtarzać swoich doswiadczeń, bo co wola zrobiła dzisiaj to jutro dokończy nałóg — i co za smutne następstwa, kiedy mi wreszcie przyjdzie leczyć twoję chorobę z Opium, przez toż samo opium.

O! ten lekarz miał rozum, nikt nie kupi szczęścia na ziemi tak tanio, a mnie się zachciało kupić zapomnienie, sen cichy kilkudziesięciu kropli soku z jakiejś rośliny! — Takiego wroga jak nuda co pożera duszę, takiego wroga bezserca i upartego, nikt nie wyprosi, z nim nie wejdzie w umowę, ugody —jego można tylko przemocą wypędzić— choćby przyszło rozwalić siedlisko gdzie się rozgościł, zniszczyć wroga z jego ukryciem,— innego sposobu niestety nie ma. Ja go tylko drażnię a ten ze mnie szydzi co dzień z większą goryczą— kropla po kropli sączy truciznę w mą duszę, pewny żem bezsilny, że nie zdołam się z niego otrząsnąć—żem głupi, szukaiący w Opium tego, co znaleść można w kawałku żelaza lub ołowiu — co już niezawiedzie!

Osłabiony fizycznie i moralnie — znudzony życiem, które już dla mnie nie ma powabu, zostałem upiorem — chodzę pomiędzy ludźmi i ironią i sofizmatami, wypijam z nich wiarę, szczęście. Oni jeszcze mogą śmiać się szczerze, ich głupstwo, ich instykt jakiś czy łaska Boża broni od tej zimnej rozpaczy, która włada moją duszą — zazdro-

ścić im muszę, sam niezdolny osiągnąć tego, w co oni tak bogaci. Nieraz przychodzi mi szatańska myśl zarazić ich trucizną swego serca, ale na nieszczęście ona się nie przyjmuje, tylko w duszach, jak moja opustoszałych.

Nic nie kochać tak jak ja, niczego nieżądać nic nie mając, płonąć pożerczym płomieniem niepojętych przez siebie samego uczuć i myśli, pośród tego zimnego, rozważnego świata; nigdzie echa, nigdzie brata, nigdzie dłoni przyjacielskiej, nigdzie uścisku miłości — wszędzie pustynia i nienawiść! — wszędzie obojętność i szyderstwo! — Egoizm! egoizm ten olbrzymi płaz o krwi lodowatej, w bogatej koronie sławy i wielkości, na tronie kajdan i głów spodlonych, otoczony w około stęchłem bagniskiem, gdzie się pławią szkielety całych narodów— i podłe mrowie istnienia! — i toż mój swiat, i toż mój dom rodzinny, moja ojczyzna, ziemia?—I ktożby był tak niedołężnym tyle bezrozumnym, ktoryby czując tak jak ja czuję i tak jak ja pojmując, nie wzgardził nim, nie wydał mu wojny—a w nierównej walce uległszy, nie wołał raczej rozedrzeć piersi czujących i pojmujący swój mózg, aniżeli pójść w haniebną jego niewolę! Jam w obec niego, jak Kato w obec spodlonego Rzymu! — wojna, śmiertelna walka nikczemnościom tego świata, wołałem niegdyś biorąc puklerz wiary i cnoty gdym się przygotowywał młody i czujący do nierównej walki—dziś pokonany, krok po kroku cofając się z przegranego pola bitwy, dziś zraniony, pokaleczony tyłą ciosami w serce i głowę, muszę zawołać: umrzyjmy jak przystało walecznemu!

Znam ja wszystkie dowody, których użyje Teolog dla potępienia samobójcy—wiem co powie lekarz, ten teolog cielesny: jedni i drudzy nie wiedzą co gadają. Ja im powiem tylko bajeczkę na ich zawstydzenie.

Jeden bogaty a mądry czarownik posłał dwóch sług swoich do okropnej puszczy, mówiąc im: pójdźcie i przynieście mi pięknych ptaków, które obaczycie na najwyższych drzewach, albowiem są mi po-

trzebne do moich prac czarodziejskich, gdyż jest w ich środku szczerozłote serce. Poszli słudzy, pracowali długo nim się dostali do środka puszczy, pracowali jeszcze więcej nim udało się sieciami zagarnąć owe rajskie ptaki!—ale cóż, po tylu mozołach zmęczeni i znużeni wpadli w ręce złodziei—jeden rzekł, nie dam się im, i będę bronił własności mego pana, bo on był zawsze moim dobroczyńcą—i bronił się długo, ale złodziei było dziesięciu na niego i wydarto mu wszystko, na co tak długo pracował. I drugi sługa chciał z razu postąpić tak szlachetnie jak pierwszy, ale pomyślał, cóż zdołam przeciw przemocy, więc pozabijam lepiej ptaki a tak na nic się nie zdadzą złodziejom i puszczą mię; tak się w istocie stało, puszczono go nie dbając o zwłoki ptaków.—Przyszli następnie obaj do swego pana, jeden przyniósł zwłoki a drugi powiedział tylko: wydarto mi, daremny był mój opór.—Cóż mądry ów czarownik powiedział?—Tyś rozumniejszy żeś pozabijał ptaki, bo mi nie o nie chodziło, ale o skarb co się w ich wnętrzu kryje; a ty jakkolwiek szlachetny, cóżeś zrobił? straciłeś skarb i musisz znowu iść po niego — bo powtarzam wam: żywcem czy trupem ale mi ten skarb każdy sługa przynieść musi.

I cóż myślicie, któż jest sługą pierwszym a kto drugim? chcecie mię poniżyć, spodlić—chcecie żebym oddał hołd egoizmowi, walczę z jego potęgą złodziejską—ale otom zwyciężon—mamże więc oddać duszę moją złodziejom co na mnie czyhają? mamże być półczłowiekiem a pół-bydlęciem, ofiarą batoga za garść suchej paszy co mu podadzą, bezsilny mocą ducha powiedzieć: będę takim lub nie będę wcale? Dziś, gdy nie mogę być takim, a więc wolę nie być wcale, i stało się—nie będę! Wasze postrachy, wasze klątwy, rozprawy i zbrodnicza bo kłamana litość—puste to dzwony więc głośne; wasze pochwały mało więcej warte od nagany—wszystko to dzwięk próżny—a ja chcę prawdy, choćbym ją miał szukać w niepoświęconym przez was grobie! i tam pójdę i tam znajdę.—Samobójstwo jest okropną zbrodnią, nieprawdaż!—bo czyż to nie oburza społeczeństwa kiedy stanie jakiś tam malkontent i w oczy mu naplwa i zawoła: wolę żyć z robakami mojej grobowej jamy aniżeli z wami. O, pamiętam tego biednego rzemieślnika co sobie rozsadził głowę kulą—zrobiono

go zbrodniarzem—lecz większym, sto razy większym jest zbrodniarzem ten dumny bogacz, który może w owej chwili kazał służalcowi wysadzać korki burzącego się wina dla swej uczty, aniżeli on. Ach cnoto, cnoto ziemska! kiedyż ty rozbierzesz się z błyszczących szat sofizmatu, któremi cię odziewają samoluby. Cnoto, miłości bliźniego! wiaro w Boga! kiedyż wy zostaniecie czymeś więcej jak próżnym dźwiękiem na tym świecie! O darmo, darmo wołam—pusto w około —świat dla mnie jak trumna—jeden strzał wróci mię mej nieśmiertelności!

Dzisiaj—Bóg mi sam wskazał dzisiaj, zakres życia—smutna jesień, natura mię nawet opuszcza, zgniły deszcz mię chłoszcze, kości moje przemokły; cały świat, cała natura gnije, tylko mój mózg zeschły głucho kołacze po pustej czaszce. Takie dni Pan Bóg stworzył tylko do takich zamiarów—bo on wiedział że może kiedyś zechce zadrżéć ręka biednemu męczennikowi, w chwili w której ma zburzyć siedlisko swych zgryzot, zadrży i chybi jak skoro wleci w umierającą źrenicę blask wiosennego słońca, uśmiech przezroczystego nieba; a chybić nie powinna—więc stworzył taki dzień jak dzisiejszy. Dziękuję Tobie Stwórco—to wyraźnie dla mnie tylko jednego.

Umrzeć mi trzeba—bo żyć bezpożytecznie, lepiej umrzeć. Boże mój ja pojmowałem życie, ja pojmowałem ciebie! Tyś był i jest mądrością i miłością—ale dzieło twoje, ziemia, nie było nigdy i nie jest tém, czém ty chciałeś ją widzieć. Tyś sprawiedliwy—a nieszczęścia moje, nie Twojej to ręki dzieło—boś Ty sprawiedliwy! Lecz czemuż świat i ja stanęliśmy przeciw sobie do walki? Boże mój! Tyś kazał żebyśmy byli bracią dla siebie—żebym ja był na świecie jak dziecie w domu opiekuna, z którego Ty, ojcze mój, zawołasz mię kiedyś do siebie kiedy będziesz widział potrzebę tego; dla czegom ja wyprzedził twój rozkaz? Może ty mię odtrącisz od siebie za zuchwalstwo! O zrobiłbyś to, gdybyś był tylko wielkim, jak są wielcy tego świata — ale nie zrobisz boś sprawiedliwy, boś litościwy. Ty widzisz co ran w mojej duszy—co plam na niej — Ojcze mój! przecież ja nie chciałem jéj plamić, tej białej szaty mojej duszy—jam

strzegł długo, alem nie zdołał ustrzedz, bo tam gdzieś mię wysłał, same błoto tylko było. Jeźli zostanę dłużej, Boże mój! cóż ja zaniosę kiedyś do ciebie z owej pięknej, białej szaty? mamże stanąć tylko w łachmanach obłoconych przed Twą stolicą? Czuję że jeszcze na mych piersiach przebija się nieco srebrodawnej jej barwy. Boże mój! bom ja zakrywał najdłużej serce przed pociskami złośliwemi—nie pozwoliłem błotu paść na serce. Nie przeciw Tobie jam zawinił ale przeciw światu; nie z Tobom ja walczył ale ze światem! i nie uciekam od ciężkiej pracy którąś mi przeznaczył, o nie—jam nie nikczemnik! Ale stwórco mój! mnie nie pozwolono było pracować w Twojej winnicy—zasiano osty i piołuny, i kazano mi krwawy pot wylewać dla przygotowania tylko trucizny. Może ty nie wiesz Boże, w co się Twój świat zamienił; trucizny i trucizny sieją i zbierają—jam wzgardził taką pracą—wolałem uciec jak lękliwy aniżeli pracować jak zbrodniarz. I oto idę do ciebie śmiało—Ty mię nie odtrącisz—wszak nie niosę na sobie ani przekleństw, ani łez bliźniego—wszak serce moje wolne od nienawiści—ono kocha nawet w tej chwili świat bez litosci; ale samotność jego do nieznieśienia. Pustka, straszliwa pustka! Stwórco! a ja się boję żeby w tych pustkach nie zagnieździły się gady nikczemności—wszak jaszczurki tak lubią ruiny!

Oto stanąłem na granicy grobu. Czarny duch stoi przedemną, wskazuje mi moją jamę snu wiecznego—pojść za nim, czy nie pojść?....... Błąkałem się dzisiaj już tyle, głowa moja odurzona, dreszcz przeszywa całe ciało—coś się dziwnego ze mną dzieje.

Czarny duch staje znowu i znowu mi wskazuje grób otwarty, i gniewa się, że nie biorę ręki którą mi podaje—to jest anioł śmierci!.... pocóż ta walka z temi nowemi istotami!—Stanęły do boju—tak, kto zwycięży do tego należę....... Ha, ha! ich walka jakże zacięta—stało się...... czarny duch wygrał...... masz moją rękę..... chodźmy!.....

Edward Marijan.

DO REDAKCYI PRZEGLĄDU NAUKOWEGO.

„Posławszy do Przeglądu Naukowego urywek z pism zrozpaczonego—*o Melancholii*,—teraz według obietnicy posyłam urywek drugi, stanowiący niejako prawdziwy pamiętnik młodego tego człowieka. Między artykułami wesołej i żywotnej treści Przeglądu—dla jego rozmaitości, zapewne pamiętnik zrozpaczonego, nacechowany niefarbowaną rozpaczą, będzie nie zbytecznym. Już dla tego samego, że dla badaczów historyi serca człowieka, dostarczyć może nieco materyjału powieściarskiego—w rodzaju powieści Eleonory Sztyrmer—i znów dla tego, że będąc wypływem prawdziwego a nie udanego uczucia boleści, więcej mieści w sobie prawdziwej poezyi—niźli wiele dzisiejszych poematów z największą pretensyą pisanych. —Podobnego stanu duszy nie można nazwać jeszcze zupełną śmiercią—bo rozpacz, jest istną śmiercią duszy—ale okropnem cierpieniem i boleścią—oznaczonemi jeszcze dość jawną nadzieją w opatrzność — co widać dość jasno *z niby sonetu* znajdującego się w pismach autora—a ta iskra niezgasłej do szczętu nadziei i wiary w lepszość i pomoc opatrzności — prawdę mówiąc, jest wielką nie tylko zaletą ale i zasługą w zmateryalizowanym świecie ducha." *M. Ł...*

Krasnojarsk na Syberyi, 15 *grudnia* 1845 *r.*

Z pism Zrozpaczonego.

(SONET.)

Cierpię samotny—sam cierpię—za drugich
Całą duszą cierpię! bez nadziei końca!
Gdzie spójrzę—wątpień krocie—a w godzinach długich
Samoty, gdy zajrzę w siebie?.. Och lepiejby słońca
Było nie ujrzyć!—Boże mój! mój Ojcze!
Czyś mię skazał na wieczne męczące wątpienia,
I udziałem mym zwątpień—rozpacze zabójcze!?..
Kiedyż dla mnie rozpędzisz mglące prawdę cienia?..

Mamże już zwątpić w dobroć Twą, czy wierzyć jeszcze?..
Prawdo—wiaro—nadziejo! Słyszę wasze głosy
Żyjące na tym świecie—a we mnie, już echa
Tylko wasze dźwiękają.— O bodajby wieszcze
Przeczucia me skłamały! Ojcze mój! w niebiosy
Duch mój szlę—jeszcze w Tobie nadzieja, pociecha!!...

§. II. *)

Boże! Ojcze! którego ja pojmuję, jak pozwoliłeś Siebie mnie Twemu dziecięciu poznać — Boże mój! gdy biorę, znowu od tak dawna nie będące w mém ręku pióro—błogosław mu i mnie—by ztąd, jeśli nie wielki pożytek ludziom, to przynajmniéj nikomu a nikomu szkoda lub cierpienie nie wynikło.

Pisałem kiedyś mój pamiętnik prócz wielu innych pism, zapytywałem siebie po co piszę i na co piszę?— Co wówczas to i dzisiaj sam sobie i wszystkim odpowiem:—na to piszę, bo to mi robi niejaką ulgę, pociechę, przyjemność. Niechaj kto chce i w jakim chce celu swe pamiętniki, (bo dzisiaj taka moda), pisze — mój cel może różny od wielu innych, bo dzisiaj nie tak już może czynnie egotyczny—a więcej bierny—cel cały jak rzekłem—ulga, pociecha, rozrywka w bolesnej tęsknocie i zabijającej nudzie.

Jakkolwiek jeszcze aż dotąd zupełnie nie jestem odwykły od pióra, bez czego dawniej, tak trudno i tak boleśnie byłoby mi jeden dzień przeżyć, — ile razy jednak dziś tenże dawny nałóg popycha mą rękę do pióra, zawsze przychodzi mi na myśl, jak stróż opiekuńczy, zdanie mego ideału - człowieka,—Maurycego:—„że nigdy jeszcze człowiek-pisarz tego nie żałował, co przemilczał, lub napisawszy przemazał." —Swięta myśl — milczenie! Gdyby tobą się rządzili nasi ledwo nie wszyscy pisarze—gdybym i ja dawniej ciebie słuchał, nie miałby świat tyle pustot literackich, prawdziwych zatykadeł kominów—nie miałbym i dziś potrzeby pędzić (w drodze) albo raczej być pędzonym, Bóg wie gdzie i na jaki koniec?.. Nie poglądałbym obumarłém już

*) Sam początek Pamiętnika raczej sposzytu pism, zawiera bardzo już nie nową myśl—o postępowem kształceniu się i ulepszaniu ludzkości. — M. Ł.

okiem na tę piękną zimową przyrodę, na ten piękny trup natury obleczony w śnieżną śmiertelną koszulę—w śnieżny całun zimy.

Jednak i tu jest nadzieja, wszędzie ona widna. W jednem tylko mém sercu nieszczęsném i ciężko zbolałej duszy, dziś prawie już zgoła jéj nie ma.—Szczęśliwy świat, szczęśliwy człowiek, gdy go okrutna noga zabójczego fatalizmu nie depcze! Szczęśliwy kto może jeszcze wierzyć czysto, albo już w nie nie wierzyć.—Szczęśliwy, czyja dusza zupełnie już umarła!

Szatański fatalizm!

I za cóż Bóg dobry, to znamie, to godło niemiłosierdzia wyciska na niektórych duszach!? Za cóż nie można żyć, poić się, przynajmniej łudzić się świętą, pocieszającą wiecznie nas nadzieją? Za cóż tej łasce, którą Sty Augustyn bronił i którą zbijając Pelagiusza, jegoż wolną odłączną człowieka *wolę*, potępiał, —tej nadziei wynikaiącej z tejże Bożej łaski—musim wierzyć jak macosze a nie matce? Za co ona tak często, tyle razy i tak okropnie i tak boleśnie nas zwodzi?.. Za cóż—i najmocniejsza dusza i z najsilniejszą wiarą w moc swą i szczęście, musi tak często, już nie synogarlicy nawet, lecz głosem przedgrobnym łabędzia, jeszcze odzywać się, wołać do świata i ludzi—i nie wiedzieć czy do świata i ludzi—wołać i wołać może nadaremno — pociechy, ratunku?... Za cóż tak często i dusza niegdyś najhartowniejsza, do tyla słabnie, stygnie, maleje, że nie poznaje sama siebie—a poznając, sama siebie się sroma i wstydzi, patrząc na swój bolesny i tak gwałtowny upadek!? Boże mój! Boże mój! pocieszej nia i miłosierdzia!

W tych zapewne już nie wielu dniach pozostałych mi życia—bo zasadzający się oddawna na organizacyę mej słabej budowy wróg, dziś ją tak mocno podkopał—w tych dniach Boże mój! które jednak w Twej woli i na wiele przedłużyć—zachowaj mię od nieszczęsnej a przeklętej rozpaczy—zachowaj od wszystkich niemocy, cierpień i nieszczęść! Dosyć już cierpiałem—dosyć byłem męczennikiem—acz Ty wiesz Ojcze, może nie tak wielkim grzesznikiem! Chwała Tobie i za to! Moje ty wewnętrzne usposobienie a bolesne usposobienie! Dra-

źliwości nerwu sympatycznego—nieszczęsna melancholio! za cóż mię tak prześladujesz?....

§ III.

Młodzieniec—każdy człowiek poeta-melancholik, jest nieszczęsny męczennik i świata i samego siebie—a niewinny męczennik. Jeżeli jeszcze obdarzony umysłem więcej syntezy jak analizy—gdy nie rozdrabia, nie rozkłada, lecz zawsze gromadzi, stwarza, buduje,—gdy lubuje w ogromach a nie w pyłach, gdy jednym pociągiem, jednym rzutem oka swej duszy pochwyca massy ludów i światów—ich myśli i uczuć—ich szczęścia i życia;—gdy nicość i wszystko—minimum i maximum—zdoła utożsamić, zlać w jedno, — o! biedny i stokroć biedny! Bo często a może i zawsze, nie znajdując prócz siebie nic— i świat i wszystko mając i biorąc za nic,—nie mając nigdzie i w niczém opory i celu do istnienia,—gdy w rozpatrzeniu samotném, szczerém i głębokiem duszy swej—zobaczy w niej okropne pustynie, gdy nie zobaczy w niej nic a nic prócz okropnego wyrazu stawionego przed oczy duszy nieszczęsném przypomnieniem—wyrazu atheizm,—o! to lepiéj byłoby jemu z piérwszem chwyceniem powietrza rodząc się na świat — chwycić i śmiertelną prędką truciznę! — W rzeczy samej —umysł syntetyczny, gdy odrzuci zupełnie wpatrywanie się w proch w nicość, w próżność, wsparty jeszcze na pojęciu organizacyi świata, lub metodą genetyczną (organizowaniem się świata), najczęściej zakończy na okropném Spinozy atheizmie.— Szczęśliwy jeszcze gdy ma siłę nie szukać w świecie i ludziach pomocy,—gdy cierpi ale cierpi sam — gdy tym piekielnym dechem nie zabija szczęśliwszych od siebie braci.—Pisarz, którego pióro nie pocieszy czytelnika, lepiej niech nie pisze! Bo cel pisma, powinien być—albo nauka albo zabawa, albo pociecha dla drugich.

Nieszczęsny umysł syntetyczny—bo dumny najczęściej—bo ogromy prędko, ledwo nie jednym rzutem oka, obejmuje, i niejako z łatwością niepojętą wszystko improwizuje,—gdy dla tej przyczyny zaniedba głębszej nauki, któraby jego duszę i myśl rozdrobniła, zanalizowała—to jeszcze powtarzam, że jestto nieszczęsny i często samego

siebie nieszczęsny męczennik. — Zgadzam się z Bakonem i Benjaminem Constant'ym twierdzącymi—iż niewiadomość prowadzi do niewiary, a nauka głęboka do czystej, dziewiczej wiary i religii.—Szczęśliwa Syntetysta, gdy tego lekarstwa może dostać i leczyć swe bolesne rany cierpiącej swej duszy.

§ IV.

Czego okoliczność i czas nie zmienią?!. Co ich wszystko odmieniającej, niszczącej sile się oprze?. Z najpiękniejszej budowy natury—najpiękniejszej twarzy kobiety—przez dzień, przez chwilę, staje się robak obrzydliwy—a za chwilę z tego, kto wie co i jakie obrzydliwe i nikczemne jestestwo i niejestestwo się nie staje—i na odwrót.

Z najgorętszej duszy, najwznioślejszego umysłu i serca—z najbujniejszych wszystkich władz duszy—o jakże często—i jak boleśnie stają się ludzie—ludzie, których, przyznam się, że w tej chwili i nazwać właściwie nie umiem. Ta mi myśl nasuwa niedawno widzianą osobę—albo raczej ta niedawno widziana a kiedyś nieznajoma osoba, tę myśl nasuwa.—Biédny, nieszczęsny T...— Gdym go dzisiaj lepiej, słuchając jego szalonych warjata myśli, prawdziwych waryjacyj, poznał—bo sam dziś więcej będąc oznajomiony z historyą umysłów i pomysłów ludzkich,—bo sam widząc się z mem uorganizowaniem umysłu (mechanika świata) prawie na tejże drodze ręką natury co i on postawiony,—dzisiaj mówię—ledwobym nie przysiągł, że on już był waryjatem a przynajmniej półwaryjatem—nim go osądzili za warjata. Nieszczęście było przyczyną rozwijającą w nim tę chorobę; lecz zasadniczością, jego syntetyczny umysł, żywy temperament a nie wielka moc głowy i charakteru.— Istotnie, podczas mego więzienia, gdybym nie był lepiej od niego doń przygotowany, gdybym nie pamiętał, że chwila zapału i nerwowej gorączki umysłu i mózgu, często i najczęściej—wszystko acz najwznioślejsze i najwięcej szlachetne lecz zawsze improwizując, mogą sfałszować i fałszywy bieg myślom na długo i na zawsze nadać,—może, i zapewne uległbym podobnemu co i ten nieszczęsny losowi—zwaryjowałbym.—Jakież myśli—jakie uczucia, i ile tych myśli i tych różnolicowych uczuć nie przeszło

przez głowę i serce?!.. Zacznij—kto byłeś w podobnym mnie stanie i z podobną do mej duszą, czytać historyę myśli i uczuć, rozumowań, teoryj ludzkich, historyę wszystkich cnotliwych wierzących i heretyków, historyę filozofii od początku filozofii aż do nas, od Thalesa do Platona—od niego przejdź cały orszak, cały świat wyłamywań się ludzkiego umysłu z pod praw objawionych—świat zaciekań się rozumu chcącego sprawdzić, swoją wielkością zgruntować głębokość tajemnic i abstrakcyi wiary—hierarchią wszystkich piérwszych chrześciaństwa wieków herezyi i heretyków—aż do Okena—aż do Trentowskiego,—a zaręczam, że te wszystkie myśli, uczucia i teorye, a przynajmniej ledwo nie wszystkie znajdziesz sobie znajome, jakby twoje, i istotnie twoje—bo one ledwo nie wszystkie przeszły przez twój umysł i serce.—I nic dziwnego, że człek z wielą wiadomościami, z wyższém uczuciem a nie tak mocnym umysłem, od tego nawału i nacisku myśli tych i uczuć, przebiegłych w tak krótkim czasie, tak gorączkowie przez jego głowę i serce—że się zmiesza, osłabnie na umyśle?.. Biedny T...

Widzieć go dawniej w całej okazałości jego wymowy i mocy słowa i myśli na kazalnicy—i widzieć dzisiaj w szpitalu rozprawiającego na raz o wszystkiém—o astronomii, teologii, polityce, chemii, medycynie, mechanice świata—i tém wszystkiém skierowanem jedynie do jednego—i do czegóż jeszcze jednego?. do pokazania, że koniecznie z Radziwiłłów pochodzi!... Na jego większe nieszczęście, jak spostrzegłem, musiał niegdyś czytać teorye Vico i Bossueta o ludzkości i jej społecznych urządzeniach. — Dziwna jednak, że ten umysł tak świetnie i tak mocno pokazujący się na kazalnicy, — zachwiał się i zmięszał w filozoficznych naczytanych teoryach. — Dzisiaj u niego—i cóż dzisiaj?. jedno i bardzo naturalnie i jasno, jedno nic—to samo co w umarłej czaszcze. Bo i cóż może dziś być w niej lepszego?. I cóż dzisiaj w mej czaszce lepszego nad nic?. I cóż dla niej dzisiaj lepszego i w innych czaszkach i książkach najnowszych nad nic?.. Istotnie, co dziś tak wielu, co dawniej i mnie samego mogło zajmować i zajmowało — czémum się dziwił—a przynajmniej do czegom wartość przywiązywał,—to dzis—ta myśl i wszystkie tè myśli

zdają się być o tyle mi powszednie, że niewarte nietylko druku lecz i wiadomości.—Nic nowego—nic godnego—cała i najwyższa czczość dziś i apatja.

Jednak są chwile jeszcze—a były niegdyś tak częste, że mimowolnie musiałem w duszy mej powtarzać:— Myśli—czucia moje! o—wy dzieci moje! Jeśli was wszystkie anioł pamięci —jeśli każdy wyraz was wszystkich zapisuje na karcie pamięci — o! to sąd mój w wieczności, drugą wieczność przetrwa!. Na każdym kroku myśl —w każdej chwili myśl—i z myśli znowu myśl—a wszystkie moje... wszystkie duszy mojej!. Lecz gdzieżeż wy myśli i czucia?!.. Niestety —uwinione w ciemną nieprzezroczą siatkę niemocy i niemożności jak raki w worku *), śpicie na toniach przeszłości—i zaledwo wspomnienie wywołując was pojedyńczo, po imieniu — rozdaje głos i odgłos głucho-bolesny, żałośny jak pustelnik samotny na odludnej—niedostępnej puszczy!..

§ V.

Nie z myśli, bo myśl tutaj mała—lecz z uczuć kilka pamiątek pamięć zachowała—które, zaprzątniona pamięć, by z rąk swych nie upuściła—przywiążmy je do niej wierszami, tymi sznurkami zwitemi z liter na papierze.—**)

Był czas naśladowania u mnie—dziwnie humorystyczny i spokojny. Czytałem kiedyś jeden raz Jana Kochanowskiego— Nie wiem o ile mogłem pojąć i zachować jego styl i duch pieśni w pamięci—i jak blizko przystąpić do nich.

—

Marzenia starego żołnierza.

1.) Chciałbym z księgą—z piórem w ręku
Żyć na łonie mej rodziny,
Siać zboże— . . . .
Chodzić do blizkiej brzeziny. —

*) Oryginalne porównanie! — M. Ł.

**) W ogóle styl autora bardzo przypomina styl metafor, przekładni i t. p. i jest dość jaskrawy. L.

2.) Mieć sadek—krówek nie wiele,
Widzieć szczęście ludzi z siołka,
Być lubionym—a w niedzielę
Jechać wózkiem do kościołka.
3.) Po zielonej mej brzezinie,
Niech rzeczółka czysta płynie—
Tam ja z przyjacielem siędę
I gazety czytać będę. —
4.) A gdy znudzi ich czytanie,
Duszę wesprę inną chętką,
Więc z chłopięciem na śniadanie,
Pocznę łowić rybki wędką.—
5.) O świtaniu zwołać ludzi
Pjaniem kogut mię obudzi,
Albo bocian co na dębie
Klekotaniem zbija zębie.
6.) Latem—w żniwo—pójdą żeńce,
Zbiérać będą kłosy—strąki—
Lub grabliska wziąwszy w ręce,
Oczesywać włosy łąki. —
7.) Tam i wieczór niedaleki,
Więc złożywszy stare kości,
Nim zaklei sen powieki,
Będę marzył o przeszłości.
8.) Oto chęci me Olesiu!
Chciałbym z duszą—ciałem zdrowém
Żyć spokojnie—jedném słowem
Żyć—jak żył Jan w Czarnolesiu! —

Była pora, (i kiedy ich u mnie nie było!) czystego rozrzewnienia i żalu,—i z duszy nagle, niespodzianie na wspomnienie mej małej biednej, płaczącej sieroty, na wzór czułego Karpińskiego, polały się wyrazy—wyszła improwizacya:

Byłem—i byłbym światu na dobre godziny,
To wiem;—tego nie wiem—za com nieszczęśliwy!
Maryjo! o Maryjo! siostro ulubiona!
I ty ku mnie wyciągasz swe biédne ramiona,
I latasz z włosem na twej głowie rozczochranym,
I swą głową potrząsasz—a piersiom zdyszanym

Folgi nie dajesz!—Wesprzyj!—o wesprzyj Maryjo
Swe serce na mych piersiach, niechaj razem biją!
I opasz mię twych ramion serdecznėm wiązaniem,
I oddaj memu sercu wzajemnėm kochaniem!

Czasem i przychodziła mię nawiedzić choć smutna, udawana jakby wesołość, przynajmniej żartobliwość—i przypominając Krasickiego wstęp do bajek—mówiłem:

Był student, który nigdy nie miewał przezwiska,
Było dziewczę, co nigdy pójść za mąż nie chciało,—
Młodzieniec, co nauce oddał duszę całą
A z kobiétą bał się mówić z bliska. —
Było małżeństwo co się nigdy nie różniło;
Kobiéta—dla któréj strój był rzeczą niemiłą.—
. . . .
Mężatka—co prócz męża, kochanka nie miała,—
Aktor, co z wstrzemięźliwej drogi nie wystąpił,
Był Stryj—co dla bratanka pieniędzy nie skąpił—
Był dzień, w którym żyd *draj groszen* nie mówił,
Gracz człek uczciwy;—Lichwiarz, co złotych nie łowił;
Był lekarz, co w leczeniu nigdy się nie zmylił,
Był nędzarz co od złota oczy swe uchylił,
Nauczyciel, co sam się i ucznia nie znudził—
Nieszczęsny—co się nadzieją nie łudził!
Był kupiec co towary chciał tanio oddawać,
Literat, co pism nigdy swych nie chciał wydawać—
Sędzia—krytyk co zawsze sprawiedliwie sądził!—
Był wreszcie taki człowiek, co nigdy nie zbłądził!
—Lecz to nie bajka—to wszystko być może—
—A ja to między bajki dziesięć razy włożę!

Do jakiego stopnia zbliżyłem się ku wspomnianym pisarzom, których dawno czytałem—a dziś nie mam ich pod ręką—sam nie wiem.

O jakże często przychodziło to piekielne straszydło do mnie—rozpacz—jakże wtenczas nie było zawołać!?.

Nie wierzę w uczciwość szulera
Jak nie wierzę w litość kata—
Nie wierzę że Francuza zawsze przyjaźń szczera!
Że Niemiec bez korzyści będzie służył szczérze,
Lecz ze wszystkich najbardziej, w szczęście me nie wierzę!—

Ludzie—co nic nie doznali, weseli i mędrkujący, niegłodni, wyspani, rozwaleni w krześle Woltera w ogrzanym gabinecie—i spokojni—śmieją się i potępiają rozpacz i rozpaczających, zowiąc to wszystko małodusznością.—O jak my dawno o tém wszystkiém wiemy! Jednak i kamiennej, stalowej cnoty i męstwa Brutus—wołał:—cnoto! czcze imie!—Jednak—i co więcej—a co jednak najmocniej pocieszyć może, bo niejako dźwiga z kału wzgardzonej godności ludzkiej człowieka upadającego—jednak, przebacz Boże że się śmiem tu równać, jednak i Ty na krzyżu wołałeś: Eli, Eli, Lamazabachtani?!.

Niespokojność, gwałtowną trapiącą gorączkę umysłu i kipiący war serca, często można ułagodzić książką, szczególniej która z umysłem spokojnym pisana. Ja pamiętam, często ulgi wiele doznawałem w burzliwych cierpieniach duszy czytając dzieło Cimermana o Samotności.—Lecz nic lepiej, gdy sercem i duszą cierpisz, nie uspokoi twej boleści, jak pożegnanie i ostatnie słowa do swych uczniów Zbawiciela Boga, mianowicie w Ewangielii Sgo Jana. Jaka słodycz! Jaka moc uczucia rzewna, żałośna ale wielka! Jaka rezygnacya, wiara i nadzieja i miłość!. Jakaż?.. Boska!!! — Któż z ludzi najszlachetniejszych i z najwznioślejszą duszą i takiemiż celami, prócz Boga, może z taką wiarą i mocą wyrzec:—jam świat zwyciężył?!.. Czy jest co wznioślejszego, piękniejszego w książkach na naszym tu biednym świecie jak ostatnie rozdziały wspomnianej Ewangielii Sgo Jana—pożegnanie?. i czy może co być wznioślejszego?... Gdy przeczytasz je, ale z prostotą ile może być prostą, dziecinną, chrześciańską— to pewno nadzieja-pocieszyciel wstąpi ci do duszy, a rospacz jakaby nie była, zawstydzona , choć pomału ale odejdzie od ciebie—przynajmniej ze mną tak bywało. I w takiej błogiej zmianie duszy strapionej, nieraz wspomnienie przywoływało mi na pamięć, kiedyś mą niewinną i tylu drugim ludziom wspólną żądzę duszy:

Przejdą lata—przejdą wieki
I zmieni się dusza świata—
A wtenczas krytyk—lub ten świat daleki
Pozna—oceni—uwielbi warjata! —

Czy jam był warjat, czy nim jestem dotąd?.. to Bóg wie jeden. Nasze—ludzi sądy—wszystkie są dobre dla nas— a tém bardziej dla

nas samych,—u Boga nasze sądy o rzeczach i świecie całym i o nim, jak i my sami, czém jesteśmy?. jednem niczém!

§ VI.

Jest rodzaj samolubów duchowych, i kto dziś ich nie zna, lecz samolubów nieudawanych, nie małpujących Bajrona i Adama, ale podobnie im, nie wiem za jakie grzechy i zaczyje, istnymi męczennikami siebie i świata stworzonych— którzy wszystko czego się nie tkną tylko, wszystko do siebie odnoszą i stosują, wszędzie siebie widzą a pisząc opisują.—Wielką tego przyczynę kiedyś w sonecie jednym pomieściłem, z którego ledwie cztéry wiersze pomnę:

Kto nasamprzód swe oczy utopił sam w sobie
I przez siebie na ludzi i na świat poglądał,
O! daremnobyś tego od niego pożądał,
Aby najpiérwej myślał i pisał o tobie.—

Dwie albowiem natura przeznaczyła nam drogi do uczenia się jej—świata i siebie samych, słowem filozofii.—Jedna jest pilném zwracaniem oka na świat zewnętrzny i ludzi, zapominając zupełnie prawie o sobie,—druga przeciwna tej, uczenie się samego siebie ciągłe i z siebie samego miara i sąd o świecie i ludziach tak podobnych do siebie i do postrzegacza.—Bo istotnie, wszystko w przyrodzie, cała w ogóle przyroda stworzona, nosi na sobie znamie tożsamości, pokrewnego bardzo podobieństwa i analogii—bo nie byłaby utworem—dzieckiem jednego mistrza—jednego ojca.

Tych duchownych samolubow—pisarzy dobijających się całemi siły do sławy lub przynajmniej do wiadomości o nich u potomnych podobnychże, jeśli nie większych samolubow i samochwalców—dzisiaj najwięcej pono — a może innych przeciwnych im pisarzy, jedynie w celu użytku istotnego dla ludzkości piszących — zgoła dziś nie ma.—Bo też prima charitas ab ego—jak mówił Dmuszewski niegdyś, jest odbitem piętnem ręką samego Twórcy na człeka ciele i duszy,—bo z drugiej strony, i ta chęć sławy i przekazania swego imienia do potomności, byle z dobrej i szlachetnej strony, nie jest zła, nawet dobra, gdy ustalając w sercu ludzkiem wzgardę dla występku i nizkości

—jeśli nie popycha nas nadto dalej i dalej ku bohatérskim idealnym cnotom, to utrzymuje w karbach chociaż cnót powszednich i przyzwoitego życia. Wszystko to dobrze, jak wszystko dobře co Bóg nam dał i wlał w nas, [byle dobre owoce rodziło.—Jednakże w zalewie tym samolubnych samochwalców i ich pism—w których i miejsce urodzenia i czas urodzenia swych robot, prócz swej nazwy, niezawodnie wypisują—jakby prosząc czytelnika, aby się nimi koniecznie choć mało zajmował—z której fanomanii Nikitieńko oceniając Lermontowa, gdy się nie mylę, poezyje, wyśmiewa sprawiedliwie—wartałoby życzyć aby się znalazł nie jeden pisarz, w którymby się nie jedne egotyczne do jego jedynie przypięte uczucia i myśli objawiały,—lecz któryby byłby tłómaczem i objawicielem myśli i uczuć spółeczności. Takim Nikiteńko właśnie widzi nieboszczyka Lermontowa.—Chciałbym go szczérze dla tego poznać. —

Dzisiaj wiek XIX, wiekiem jest duchowego, nie mniejszego jak wiek przeszły był, samolubstwa i podobnejże dumy. Zawsze podobno człowiek rad z siebie—i dziś mędrszy niż był wczora. To jego jedyna pociecha i szczęście. I gdyby było inaczej, istotnie bylibyśmy nierównie więcej jak jesteśmy nieszczęśliwi.—Dziś nam się zdaje żeśmy doskonali i rozumni i tém się pysznim; jutro zapewne dzień dzisiejszy potępim lub choćby wyśmiejem pomyślawszy:—istotnie, jakże to i owo nie przyszło mi było do głowy co dziś wiem—jak wczora byłem głupi!—A po jutrze to samo powiemy o jutrze—i wiecznie radzi z siebie, wiecznie samolubni i samochwalcy dumni.—Jest to, jak rzekłem, nie mała przyczyna naszego szczęścia. Bo w istocie, gdybyśmy z tém pojęciem i wiarą, że co w wieku np. młodzieńczych zachwytów i uniesień umysłu i serca, myśleliśmy i czuli i jak myśleliśmy i czuli—że to tylko jest dobrém i szlachetném—a potém straciwszy to wszystko z czasem, (bo naturalnie musi wiek młody ze swemi wszystkiemi prérogatywy się skończyć)—oglądali się tylko wiecznie w tę złotą i mądrą a niepowróconą naszę przeszłość i widzieli złą i szkaradną teraźniejszość,—w istocie do jakiegoż stopnia byśmy nie zwiększali i tak wielkich naszych ucisków i boleści!?.. Starzec gdyrający ciągle na dzisiejszość a chwalący czasy przekwitłe i stare-

nie jest tym nieszczęśliwym—owszem szczęśliwym dziś samolubem—bo zawsze swój rozum i wszystko swoje czyniąc podobnem do dawnych, rozumie się mędrszym i lepszym w każdym względzie od młodych dzisiejszego świata ludzi.—Rad jest z siebie, i z tą radością i zadowoleniem—szczęśliwy.

ROZMAITOŚCI.

Journal des Economistes w sprawozdaniu miesięczném w pracach Akademii nauk moralno-politycznych, umieścił wiadomość, że Prof. *Matter* pracował nad filozofiją Grecką i to mu dało powód do porównania tejże filozofii z ustanowieniami religijnemi i politycznemi Grecyi i Włoch od Solona do Justyniana.—Dobroduszny *Dziennik* wyznaje, że nie bardzo się zna na pracy uczonego badacza filozofii i dla tego lepiej mu się podobały prace niejakiego *Lanci*, który czytając Biblię przez lat 20 i badając starożytności Egipskie, assyryjskie i filozofię kabalistyczną, twierdził, że on sam dopiero poznał pierwszy z gruntu Pismo S. Ten *Lanci* jest Chrześcianinem-Katolikiem: sądził on, że była niegdyś cywilizacya pierwiastkowa, której promienie oblały niegdyś całą ziemię, a zepsute w podaniach różnych ludów zachowały się i objawienie na Górze Synay jest tylko odtworzeniem innej mądrości starowiecznej, mitologie zaś są tylko słabém odbiciem tej prawdy. Aby dać czytelnikom pojęcie o duchu prac p. Lanci, dość przytoczyć jeden fakt tylko. Zadaje sobie autor pytanie: dla czego jedne ludy piszą od prawej strony ku lewej, drugie od lewej ku prawej? jedne z góry na dół, a drugie z dołu do góry? Oto dla tego że tak szli synowie Noego: Sem na Wschód idąc miał słońce przed sobą i pisał tak, jak dziś Chiń-

czycy, t. j. z góry na dół. Jafet miał słońce po lewej stronie i pisał od lewej ku prawej i t. p. Poczciwy *Dziennik* o którym wspomnieliśmy, każe być wdzięcznym panu Frank, który obeznał publiczność z pracami p. Lanci. Pokazuje się, że i za granicą nie jeden Fizyk pisze o filozofii, jak o Chinach, i dla tego nie potrafi ocenić nie już pracy, ale nawet stanowiska Mattera.

Półtora tysiąca lat z górą upływa od upadku Filozofii u Greków i Rzymian do pamiętnej epoki odrodzenia nauk. Pierwsze wieki tej półtoratysięcznej nocy zajmuje Filozofija aleksandryjska, którą oprócz Hegla opracowało wybornie kilku pisarzy a między innemi *Matter*. Jeszcze w roku 1820 wydał on dzieło: Essai sur l'ecole d'Alexandrie (Paris). Szaniawski jeszcze nie korzystał z niego, bo pisząc: „Rzut oka na dzieje Filozofii od czasu jej upadku u Greków i Rzymian aż do epoki odrodzenia nauk," i „O znamienitych systematach moralnych w starożytności," miał przed sobą Dażeranda i Deslandes'a—po nim zaś oprócz *Bakona* nikogo prawie nie tknięto specyalnie u nas, chyba po pismach czasowych.—Był czas, kiedy filozofiję aleksandryjską miano li za chorobę, jak dziś jeszcze wielu uważa filozofiję scholastyczną, religije Wschodu i t. p. Dziś jednak, kiedy epos w historyi Liwiusza ważne jest jako epos, symbol prawdy—równie uważaném być musi epos każdej wiary. Tam byli mistrze—twórcy, jak Prorocy Wschodu, jak historycy Zachodu: tam była myśl w powłoce symbolicznej. To są tony jednej wielkiej harmonii, jednego wielkiego obrazu ziemi w związku i następstwie, przelewach form, a kto wyrywa jednę epokę, jeden zwrot życia, ten nie pojmuje cudnej plastyki jedności ziemi, nie pojmuje harmonii wieków i ludów. Nie rozumiem Europy bez Azyi, nauki bez wiary, ani wojny peloponeskiej bez wojen perskich, ani peryodu Dorów i Jonów, bez Eolów i Acheów wieku bohaterskiego, homerycznego i orficznego w Grecyi. Tak samo nie można pojąć cywilizacyi nowożytnej bez starożytnej, jak Grecyi bez Wschodu. Wiara przesądna jest prawdziwą zgubą człowieka, trucizną jego życia. Każdy człowiek biczować ją i krzyżować powinien naprzód w sobie, t. j. kształcić się mozolnie i długo, a potém w innych takie szerzyć pojęcia, jakie wysnuł z istoty swojego ducha i przeprowadził wskróś dziejów.

Dziwne też to a niesłychane dzieją się nieraz rzeczy na świecie. Kiedy ludzie najmniej rozumu mieli n. p. w wiekach średnich, rwali się przez wszystkie sposoby do racyonalizmu i ztąd to owe foliały, których dziś nie czytają. Przeciwnie w końcu 18go wieku, kiedy najmniej było wiary, najwięcéj pisano o religii i to się dziś jeszcze w Niemczech powtarza.—*Pewne* znowu pismo ze zwrotem mistycznym—pisze o rozumie wierszem i prozą, poniża go, mając *arrière pensée* w zasadzie. Widać że zasada jaką uznaje rozum, niepokoi to pismo, i dla tego prędzej czy późniéj padnie ono ofiarą rozumu, którego za broń używa, chociaż nań powstaje,—bo jaką kto bronią wojuje od takiej ginie.

Rzecz godna uwagi, że prawie wszyscy pisarze wstecznych dążeń —a za takich uważamy tych, co poniżają jakąkolwiek władzę duchową człowieka, pomiatają dziejami, depczą wszelkie rozwijanie się ludzkości—są to odstępcy dawnych mniemań, które przyjęli w ostateczności i dla tego wyrzec się ich musieli. Takim jest n. p. Autor artykułu „Synteza," umieszczonego w poszycie Pielgrzyma za luty r. z., taka sama Redaktorka Pielgrzyma. Nie pierwszy to przykład w dziejach naszych takiego odstępstwa: widzimy je na głośnych pisarzach naszych Orzechowskim, Joachimie Bielskim i t. p., w których życiu widać dwa wbrew przeciwne zwroty myślenia. Dzieje to wyjaśniają.

Co do wiary zauważymy, że pisarze pełni mistycyzmu tak są stronni, że sądzą, iż każdy kto nie wierzy czyni to przez złość i upór. Jakaż to jednostronność poglądu na rzeczy—tych ludzi, którzy nawet nie pojmują, że wątpliwość, niewiara w człowieku a herezye, odszczepieństwa, sceptyzm w ludzkości, jest to konieczna doba rozwoju. Ci ludzie sądzą, że człowiek nie wierzący może sobie powiedzieć: będę wierzył i uwierzy. Jakby chory mógł sobie powiedzieć: będę zdrów i wyzdrowiéć. Zresztą, wierząc nawet, trzeba sobie wyrobić pojęcie jasne i czyste o przedmiotach najświętszych dla człowieka na ziemi: prawdzie i poświęceniu, t. j. owocach rozumu i woli. Rozum i wola są probierczym kamieniem naszej wiary, która bez uczynków martwa, bez rozumu przesądna jest.